



ZELDA

NANCY
MILFORD

WIELKA MIŁOŚĆ F. SCOTTA FITZGERALDA



Gordon Bryant

CZĘŚĆ I

DZIEWCZYNA Z POŁUDNIA

Admiral
BRAND
SEARS & ROEBUCK CO.

R3425
Hill's
Jean
Cloth
\$39



Misses
and
Girls'
Sizes

27R3430

Cotton
Flannel
\$1.48

All Wool
Flannel
\$3.79



27R3430
Rayden
Foggy
Mist
\$2.98



27R3420
Hill's
Jean
Cloth
with
Detachable
Collar
All Wool
Flannel
Collar
\$1.98



27R3435

Hill's
Khaki
Jean
Cloth
\$1.39

3402
Hill's
Khaki
Jean
Cloth
\$1.39



The Best and Most
Popular MIDDIES
in America

They Set a Standard
of Quality That Is
UNIVERSALLY FAMOUS

27R3415
Hill's
Jean
Cloth
\$1.39

OUR "ADMIRAL" BRAND MIDDIES are the most popular and best selling middie blouses in America. Customers know their underwear may be depended upon. For well fitted, practical blouses for school, work or play, Admiral Brand Middie Blouses are the most right and correct you can buy. You will find them better made, finer materials; you will find they fit and are better priced than middie blouses you purchase elsewhere.

The Admiral label on your mittens means you get:

- The highest grade of materials.
- The famous non-slip placket on double thread stitching through giving longer life to the garment.
- Finest quality unadorned handkerchiefs.
- And our absolute guarantee.

122 SEARS, ROEBUCK AND CO.

For Descriptions and Other
Colors See Opposite Page

Smutna tragedia kochanków upadku:
Ja to już nie ja, zapłacz, czuły świadku.

Sir Philip Sidney, *Astrofel i Stella*, sonet 45*

1

Jeżeli na dalekim Południu istniał jakiś prawdziwie konfederacki dom, to Zelda Sayre pochodziła z takiego właśnie domu. Willis B. Machen, jej dziadek ze strony matki, był energicznym przedsiębiorcą, na tyle twardym, by kilkakrotnie obierać nową karierę, i na tyle krzepkim, że przeżył dwie ze swoich trzech żon. Do Kentucky przyjechał z Południowej Karoliny jako chłopiec, w czasach kiedy nowy stan był jeszcze pograniczem. Młody Machen rozpoczął działalność od zawiązania w okręgu Lyon spółki trudniącej się uszlachetnianiem żelaza; wkrótce poszczęściło mu się na tyle, że otworzył własny interes. Przedsiębiorstwo splajtowało, Machenowi groziła ruina, ale zdołał jakoś spłacić długi i zacząć od nowa. Budował kołowroty, dopóki w następstwie ciężkiego wypadku nie musiał jeszcze raz zmienić zawodu i nie został prawnikiem. Nigdy więcej nie zaznał już niepowodzeń. Wkrótce wyrobił sobie liczną klientelę w południowo-zachodniej części stanu i wszedł do zgromadzenia, które opracowywało projekt konstytucji Kentucky.

* Przełożyła Ewa Życieńska.

< Ulubiony przez młodą Zeldę styl marynarski pojawił się w amerykańskiej modzie w połowie drugiej dekady XX wieku

Był senatorem stanowym do wybuchu wojny domowej, kiedy to pograniczny stan Kentucky musiał opowiedzieć się po jednej z walczących stron. Chociaż formalnie przystał do Unii, secesjonisci, na ich czele zaś Machen, utworzyli tymczasowy rząd stanowy.

Mieszkańcy okręgu i żołnierze na polu walki wybrali Machena do konfederackiego kongresu. Pod koniec wojny, w obawie przed represjami, zbiegł do Kanady. Jego trzecia żona wraz z córeczką Minnie pojechała tam wkrótce w ślad za mężem.

Po amnestii Machen wrócił do Kentucky. Nakłaniano go, żeby przyjął nominację na gubernatora stanu, ale odmówił, gdyż jego kwalifikacje budziły zastrzeżenia. W 1872 roku wybrano go do senatu amerykańskiego, którego członkiem pozostawał przez cztery miesiące. W lipcu tego roku, podczas konwencji partii demokratycznej w Baltimore, delegacja Kentucky wysunęła jego kandydaturę na wiceprezydenta, ale to stanowisko go ominęło.

W roku 1880 Machen był wpływowym członkiem komisji kolejowej swojego stanu i usilnie zabiegano o jego protekcję. On jednak usunął się do Mineral Mount koło Eddyville, pięknej rezydencji z czerwonej cegły. W tej posiadłości, obejmującej trzy tysiące akrów żyznej ziemi w dolinie rzeki Cumberland, zajął się uprawą tytoniu. Sielankową wytworność wspaniałego domu musiała nieco przyćmić budowa linii kolejowej Chesapeake i Ohio, przebiegającej u stóp wzgórza, na którym się wznosił. Mimo to Machen zaliczał się do śmietanki towarzyskiej Południa, bo jako plantator i prawnik należał do klasy rządzącej. W takiej to atmosferze uprzywilejowania wzrastała Minnie.

Album z wycinkami, który w latach dziewczęcych prowadziła Zelda, zawiera zdjęcie jej matki jako dziewiętnastoletniej panienki. Wijące się włosy, splecione w warkocze i upięte w duży kok, odsłaniają uszy, z których zwisają małe, wysadzone drogimi kamieniami kolczyki w kształcie kwiatów. Minnie jest ładna, a z wiekiem stanie się przystojna dzięki regularności i wyrazistości rysów. Nos

ma prosty, wydatny podbródek świadczy o zdecydowaniu i tylko wąskie wargi szpecą twarz, która w przeciwnym razie zasługiwałaby na miano pięknej. Podpis pod fotografa brzmi: „Polna lilia znad Cumberland”.

W rodzinie Machenów Minnie była duszą artystyczną, jej wiersze i krótkie szkice często ukazywały się w stanowych gazetach. Z zapałem czytywała prozę i poezję, a kiedy zabrakło jej innych książek, sięgała po encyklopedię. Marzyła jednak o scenie. Miała nieduży, czysty sopran i ładnie grała na fortepianie. Ojciec wysłał ją dla „nabrania szlifu” do szkoły panny Chilton w Montgomery w stanie Alabama. Mieszkał tam jego serdeczny przyjaciel, senator John Tyler Morgan, i właśnie podczas sylwestrowego balu u Morganów Minnie poznała siostrzeńca senatora, małomównego, wytwornego młodego prawnika, Anthony’ego Dickinsona Sayre, za którego później wyszła za mąż.

Pan Sayre nie wywarł jednak na niej aż tak piorunującego wrażenia, by zechciała zrezygnować z wyproszonego u ojca wyjazdu do Filadelfii. Sezon zimowy spędziła tam u przyjaciół rodziny i kierowana potajemną ambicją pobierała lekcje dykcji. Podczas próby jednej ze swoich sztuk Georgia Drew, dyrektorka słynnej trupy teatralnej Drew-Barrymore, przesłuchała Minnie i dała jej rolę. Na tę wiadomość rozwścieczony Machen kazał córce natychmiast wracać do domu i oświadczył, że wolałby widzieć ją w trumnie niż na scenie. Minnie niezwłocznie wróciła do Kentucky, lecz nigdy nie zdołała zapomnieć przeżytego rozczarowania. Po latach, kiedy jej dorosłe dzieci wyprowadziły się z domu, leciutko zniekształciła prawdę, mówiąc sąsiadce, że gdyby nie wyszła za sędziego Sayre, zrobiłaby karierę w operze albo na scenie. Pogodziła się jednak z losem i śpiewała w chórze kościoła Poczyszyciela, gdzie chodziła bez męża.

Rodzina Anthony’ego Sayre szczyliła się pochodzeniem od pierwszych osadników z Long Island. Poprzez New Jersey i Ohio

Sayre'owie zawędrowali w końcu do Alabamy po uzyskaniu przez nią w roku 1819 statusu stanowego. W czterdzieści dwa lata później, w chwili wybuchu wojny domowej, cała ich sympatia była po stronie Południa.

Ojciec Anthony'ego, założyciel i wydawca gazety w miasteczku Tuskegee, przeniósł się z czasem do Montgomery, gdzie stał redaktorem „Post”*. Ulicę Sayre w najmodniejszej dzielnicy Montgomery nazwano tak na cześć stryja Anthony'ego, który wybudował Biały Dom Konfederacji dla Jeersona Davisa i ufundował pierwszy kościół prezbiteriański. Matka Anthony'ego, Musidora Morgan, była siostrą senatora Johna Tylera Morgana, który zasiadał w senacie amerykańskim przez trzydzieści jeden lat.

Anthony Sayre wybijał się jako student matematyki w wirgińskim college'u Roanoke. Ukończył go w wieku dziewiętnastu lat i objął posadę nauczyciela w college'u Vanderbilta; ponieważ nie czuł się stworzony do tej pracy, wkrótce powrócił do Alabamy, by się zapisać w Montgomery na prawo. Dwa lata później, w roku 1882, zaczął adorować Minnie Machen. Musiały ich chyba pociągać w sobie nawzajem przeciwne cechy charakteru, Minnie bowiem słynęła z wesołości, werwy i uroku, podczas gdy poważny A.D., jak go nazywała, wyróżniał się w gronie młodych ludzi trzeźwością i dostojeństwem.

Sayre zdobył rękę Minnie po jej nieudanej wyprawie do Fildelii i powrocie do Kentucky; ślub wzięli w styczniu 1884 roku w Mineral Mount**. Minnie miała dwadzieścia trzy lata i już nie uchodziła za młodą. Podczas wojny wyginęło wielu mężczyzn, którzy nadawaliby się na mężów, toteż na Południu pełno było panien na wydaniu. Anthony Sayre nie miał prywatnych dochodów, kiedy się zenił, i chociaż w hierarchii towarzyskiej nie stał

* Daniel Sayre nie był redaktorem, lecz wydawcą „The Daily Post” w Montgomery [wszystkie przypisy nieoznaczone inaczej pochodzą od redakcji].

** Ślub Minnie Machen i Anthony'ego Dickinsona Sayre odbył się 17 czerwca 1884 roku.

zapewne niżej od żony, był przypuszczalnie biedniejszy. Cechowała go za to jakaś niezawodność i powaga, w parze z nią zaś szło całkowite zaabsorbowanie prawem, co musiało się podobać. Najwyraźniej nie zrażał się przeciwnościami losu i wytrwale kroczył obraną drogą. Kiedy się żenił, zajmował stanowisko pisarza sądu miejskiego w Montgomery.

Pierwsze lata pożycia małżeńskiego państwa Sayre były szczęśliwe, niebawem też urodziła się im córeczka Marjorie. Dziewczynka jednak już w niemowlęctwie była nerwowa i chorowita. Następnego roku przyszedł na świat śliczny, zdrowy syn, który, mając osiemnaście miesięcy, zmarł nagle na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Pani Sayre zamknęła się w swoim pokoju i nie chciała nikogo widywać ani przyjmować pokarmów. Początkowo rodzina ustępowała jej w nadziei, że odzyska równowagę, aż w końcu lekarz domowy wtargnął siłą do pokoju i potrząsając ją za ramiona, powiedział, że ma córeczkę, której jest potrzebna; musi żyć dla żywych. Słowa te okazały się prorocze, pani Sayre zaś niejednokrotnie w ciągu swojego długiego, czynnego życia miała okazję je wspominać.

Potem urodziły się jeszcze dwie córki, Rozalinda i Klotylda, oraz syn Anthony D. Sayre junior. W ciąży Minnie często chorowała i ledwo mogła sobie poradzić z prowadzeniem dużego domu. Kiedyś pewien louisvillski wydawca zamówił u niej powieść, jednak coraz mniej czasu znajdowała na zaspokajanie literackich ambicji. Zamieszkała z nimi jej młodsza siostra Marjorie, podobnie jak nieżonaty brat pana Sayre, Reid, i starzejąca się teściowa. Dzieci pamiętały babkę, sędziwą dziwaczkę, kobietę o silnej woli, która snuła niekończące się opowieści o krwiożerczych Jankesach z rogami i ustawicznie przypominała o spuściźnie Morganów. Jeszcze dziś ludzie w Montgomery pamiętają starą panią Sayre, która siadywała w czepku i szarym szlafroku na frontowej werandzie i przyglądała się przechodniom. Słyszała z „kąśliwego języka”. W Montgomery mieszkały dwie panie Bell i kiedyś bogatsza z nich, przechodząc koło domu Sayre’ów,

powiedziała starszej pani dzień dobry. Pani Sayre zapytała w odpowiedzi:

– Czy pani jest tą miłą panią Bell, czy tą bogatą, pospolitą, bardzo ordynarną panią Bell?

W miarę jak rodzina Sayre'ów się powiększała, często zmieniała miejsce zamieszkania. Zwykle wynajmowała domy, gdyż pan Sayre był tak przeciwny zaciąganiu długów, że nie chciał zakupem obciążać hipoteki. Sytuacja finansowa wciąż przysparzała mu trosk, miał bowiem dziewięć osób na utrzymaniu, toteż żądał ograniczania wydatków do minimum. Pracował dobrze i niestrudzenie; po trzydziestce został członkiem stanowej Izby Reprezentantów, w cztery lata później członkiem stanowego senatu, a w ostatnim roku swojej kadencji przewodniczącym. W roku 1897 wybrano go na sędziego sądu miejskiego. We wspomnieniach z tego okresu rysuje się jako człowiek coraz bardziej wyobcowany i pełen rezerwy w stosunku do innych mieszkańców Montgomery, a zapewne i do własnej rodziny. Podobno jedynym miejscem, gdzie widywano sędziego Sayre (bo od tej pory wszyscy, nie wyłączając żony, tak go nazywali), był przystanek tramwajowy, na którym czekał w drodze do sądu albo do domu.

Dwudziestego czwartego lipca 1900 roku w domu na South Street przyszło na świat szóste dziecko państwa Sayre, córeczka. Minnie miała już pod czterdziestkę, a sędzia Sayre czterdzieści dwa lata. Minnie nadal dużo czytała i nazwała dziecko imieniem powieściowej królowej Cyganów: Zelda. W dniu narodzin Zeldy Marjorie miała czternaście lat, Rozalinda niespełna jedenaście, Klotylda dziewięć, a Tony siedem. Zelda od pierwszej chwili została ulubienicą matki. Ona jedna wdała się w Machenów, ze swoją jasną cerą, złotymi włosami i niebieskimi oczyma, podczas gdy rodzeństwo miało ciemne włosy i oczy. Traktując jak największy skarb dziecko, które niewątpliwie miało być jej ostatnim, pani Sayre karmiła Zeldę piersią do czwartego roku życia. Nie szczędziła jej troski i pochwał, a wykroczenia szybko wybaczała.

Zelda tchnęła w dom świeży powiew, żywa, niesforna, pełna niepokornionej wesołości. Starsze rodzeństwo, które nie nadawało się na towarzyszy zabaw, pamięta Zeldę w ciągłym ruchu: biegającą za psem, huśtającą się na huśtawce zawieszonej na drzewie magnolii za domem, jeżdżącą na wrotkach, ledwie nauczyła się chodzić, brawurowo pływającą lub nurkującą. I tańczącą. Popisującą się nowymi pas i naśladującą widziane tańce.

Kiedy dorosłą Zeldę poproszono, żeby opowiedziała, jakim była dzieckiem, odparła, że była „niezależna – odważna – niemyśląca o innych”. Ale pamiętała siebie również jako „marzycielkę-sensualistkę”, dziewczynkę inteligentną, zapaloną sportsmenkę, rozmiłowaną zwłaszcza w grach pobudzających wyobraźnię, aktywność i ducha współzawodnictwa. „Byłam dzieckiem bardzo żywym, nigdy się nie męczyłam, zawsze biegałam bez płaszcza i kapelusza, nawet po dzielnicy murzyńskiej i z dala od domu. Lubiłam niewykończone domy i często spacerowałam po odkrytych dachach; lubiłam skakać z wysoka... lubiłam nurkować i włączyć na wierzchołki drzew – lubiłam długie spacerować za miasto, czasem wybierałam się na wiejski cmentarz, gdzie bardzo często chodziłam całkiem sama”. I tak to podsumowała: „Jako mała dziewczynka pokładałam w sobie ogromną wiarę graniczącą z przekonaniem, że potrafię sama stawić czoło życiu takiemu, jakim wówczas było. Poczucie własnej niższości, onieśmielenia czy niepewności było mi najzupełniej obce i nie miałam żadnych zasad moralnych”.

Mieszkańcy Montgomery wspominają jeszcze „cięty jak brzytwa” język Zeldy, a ją samą „jak żywe srebro”, ciągnącą czerwony wózek ze szmacianą lalką Patsy, oraz biegnącego za nią małego pieska. Kiedyś przyszła spóźniona na przyjęcie urodzinowe do koleżanki, z doniczką różowych pelargonii w ręku. Prezent wydawał się tak niezwykle, że po przyjęciu matka solenizantki zatelefonowała do pani Sayre, ta zaś, wysłuchawszy jej, powiedziała: „Teraz już wiem, co się stało z moimi pelargoniami!”.

Matka pozwalała Zeldzie na wszystko i była nią zachwycona. Sprawy związane z wychowaniem i dyscypliną córki (którą oboje rodzice do końca życia mieli nazywać Maleństwem) pozostawiono sędziemu. Panią Sayre cechowało rozbijające niezdecydowanie i miła pobłażliwość. Jedno z jej dzieci powiedziało kiedyś: „Byliśmy wszyscy niezależni z usposobienia, zwłaszcza jak na Montgomery. Matka nie za bardzo nas kontrolowała – nie wiem dlaczego; ale nasza rodzina taka już była”.

Minnie Sayre nie uchodziła w oczach sąsiadów za „towarzystką” i ludzie nie wiedzieli, jak ją traktować. Krążyła pogłoska, że siostry Zeldy mają zwyczaj kąpać się na tylnej werandzie swojego domu. Grono przyzwoitych pań postanowiło kiedyś powiedzieć pani Sayre, że młodzi ludzie podglądają dziewczęta. Zaproponowały, żeby panienki kąpały się gdzie indziej. Pani Sayre odrzekła jakoby: „A to czemu? Bóg dał im piękne ciała”. Panie szybko się wycofały. Matka Zeldy niewątpliwie zdawała sobie sprawę, że takie rady się nie powtórzą, jeśli stawi im czoło. Sąsiadki uważały ją za nieszkodliwą dziwaczkę albo za „artystyczną” naturę, jak to niektórzy wolały określać, ona zaś miała je pewnie za osoby nudne i małomiasteczkowe. Do końca długiego życia, nazywana powszechnie Mamą Sayre, twierdziła stanowczo, że nie wie wszystkiego o Montgomery, bo nie urodziła się w tym mieście (choć miała w nim spędzić siedemdziesiąt pięć lat).

Zelda przechowywała w swoim albumie z wycinkami zdjęcie matki, ojca i siebie samej, kiedy miała może z pięć lat. Twarz sędziego jest ukryta pod rondem białego słomkowego kapelusza, a jego ciemne ubranie ma połysk, jakby było uszyte z czarnego jedwabiu, on sam zaś stoi lekko wsparty na zwiniętym czarnym parasolu. Minnie, z kosmykami włosów wymykającymi się spod kapelusza, patrzy prosto w obiektyw, solidna i stateczna w białej bluzce z wysokim, skromnym kołnierzykiem. Zeldy stoi obok matki, tuląc buzię Patsy do policzka; jasne włosy przycięte na pazia są bardzo proste. Żadne z nich trojga nie dotyka się nawzajem ani nie uśmiecha.

Zelda poszła do szkoły w roku 1906, ale nie spodobało jej się tam, więc po powrocie do domu oświadczyła, że nie będzie do niej chodzić. Matka odczekała rok i ponownie wysłała siedmioletnią już Zeldę do szkoły. Tym razem dziewczynka nie protestowała. Chyba wtedy państwo Sayre przeprowadzili się ze zbyt małego już domu na South Street do domu na Morgan Avenue. Jeszcze dwukrotnie mieli się przenieść, nim osiedli na Pleasant Avenue pod numerem 6, gdzie Zelda mieszkała aż do ślubu.

Przestronny biały drewniany dom na Pleasant Avenue miał pięć pokoiów sypialnych i dużą frontową murowaną werandę. Pokój Zeldy znajdował się od frontu, na piętrze, nad blaszanym dachem werandy; jego okna wychodziły na ogród, jedyną pozostałość po dawnej plantacji Wilsonów. W pomalowanym na biało pokoju wisały jasne kretonowe zasłony, a w kącie stało proste białe łóżko. Przyjaciółka Zeldy uważała, że spartańską prostotą przypomina szpital. Zelda do końca życia pamiętała zapach grusz zasadzonych po drugiej stronie ulicy, który nocą wypełniał pokój. W łagodne, duszne i ciepłe poranki budziły ją okrzyki Murzynek niosących towary na targ u wylotu Court Street.

Państwo Sayre zawsze mieszkali w lepszej dzielnicy Montgomery, na tak zwanym Wzgórzu, ale nigdy nie wynajmowali żadnej z eleganckich rezydencji. Ówczesne Montgomery liczyło około czterdziestu tysięcy mieszkańców i nie straciło nic ze swego uroku i małomiasteczkowego wścibstwa. Niewątpliwie większość rodzin w sąsiedztwie znała się nawzajem. W głębi duszy ludzie ci uważali się za rzeczywistych przedstawicieli wytwornego Południa, chociaż wspominać o tym byłoby w złym tonie. Za ich plecami lokatorzy okolicznych kamienic nazywali mieszkańców Wzgórza „elitą i czyściochami”, z odrobiną rozbawienia i nieco większą szczyptą zawiści. Bo w Montgomery z towarzyskiego punktu widzenia nie liczyło się nigdy samo bogactwo, lecz pochodzenie. Linie podziału społecznego przebiegały bardzo wyraźnie; na przyjęciach na Wzgórzu nie bywali ludzie parający się handlem, katolicy, Włosi ani irlandzcy mieszkańcy

ruder. Pierwsza wojna światowa zachwiała towarzyskimi konwensansami, ale do jej wybuchu jeszcze obowiązywały. Młode pan-ny z domów na Wzgórzu musiały odpowiednio się zachowywać, być dekoracyjne i czarujące. Uczono je siedzieć bez opierania się plecami o krzesło, krzyżować nogi w kostkach, ale nie zakładać jednej na drugą. Białe rękawiczki zapinało się przed wyjściem z domu i mimo upału pozostawały nieskazitelnie czyste. Te ograniczenia swobody musiały Zeldę bardzo irytować. Była zbyt żywa i zuchwała, żeby długo przestrzegać ustalonych zasad albo by dać im się zdławić.

Jej młodsza koleżanka Sara May eld, również córka sędziego, zapamiętała jeden z wybryków Zeldy. May eldowie zaprosili ją na przejażdżkę nowym powozem, z którego matka Sary była niesłychanie dumna. Był niezwykle nowoczesny, miał szklane szyby i miękkie siedzenia kryte czerwoną skórą. Ledwie Zelda go zobaczyła, powiedziała: „Założę się, że gdybym miała dynię, potrafiłabym zrobić taki sam powóz!”. A potem szybko, zanim ktokolwiek zdołał przejrzeć jej zamiar, wdrapała się na kozioł i mocno zacięła parę gniadych koni. Jak oszalałe pomknęły w stronę ulicy. Po kilku sekundach powóz zahaczył o bramę piastą tylnego koła i gwałtownie się zatrzymał. May eldowie pognali za nim, a Zelda spokojnie zeszała na ziemię i pobiegła bawić się z przyjaciółką. To specyficzne połączenie odwagi z przekorą przejęło pannę May eld dreszczem. Od tamtej chwili, jak mówi, uwielbiała Zeldę.

Zelda od dziecka doskonale zdawała sobie sprawę, jakie wywiera wrażenie. Wcześniej nauczyła się rozkazywać i naginać otoczenie do swej woli. Umiała też zwracać na siebie uwagę. W Montgomery krążą liczne opowieści o jej młodzieńczych głupstwach. Pewnego pięknego letniego dnia, w braku lepszego zajęcia, zawiadomiła straż pożarną, że dziecko siedzi na dachu i nie potrafi zejść na dół. Następnie przyciągnęła drabinę, weszła na dach własnego domu, odepchnęła ją i czekała. Wóz strażacki nadjechał, dzwoniąc, sąsiedzi wybiegli na ulicę, żeby zobaczyć, u kogo

się pali. Zelda tymczasem siedziała sobie na dachu uszczęśliwiona. Sędzia, jej ojciec, nie rozumiał takich dowcipów.

W roku 1909 mianowano go asesorem stanowego Sądu Najwyższego z pensją pięciu tysięcy dolarów. Jego najstarsza córka, Marjorie, nauczycielka szkół średnich, wyszła w tym samym roku za mąż, a Zelda rozpoczęła lekcje tańca. Jak się później okazało, miało to wyrzucić trwałe wpływy na jej życie.

Znacznie młodsza od swoich sióstr, z bratem nigdy blisko niezwiązana, Zelda musiała polegać tylko na sobie. Już jako dorosła kobieta mówiła, że nie pamięta, by łączyły ich wspólne przeżycia młodości. Siostry uważała za dość ładne (za najładniejszą po Zeldzie uchodziła Klotylda i z nią właśnie Zelda najczęściej się kłóciła), ale na ogół ich wzajemne stosunki cechowała obojętność. Rozalinda miała później powiedzieć, że Zelda była najżywym i najzdrowszym dzieckiem w rodzinie, które jedynie matkę darzyło wielkim przywiązaniem.

Podczas przerwy w posiedzeniach Sądu Najwyższego państwo Sayre wyjeżdżali na lato w chłodne góry Północnej Karoliny; od dziesiątego roku życia Zelda zwykle towarzyszyła rodzicom, a krewna z Kentucky zostawała z jej starszym rodzeństwem w Montgomery. Rodzice z Zeldą zatrzymywali się w Saluda, w zajeździe na wzgórzu, gdzie panowała cisza, a jeść dawano znakomicie. Nie mieli nic innego do roboty, więc siadywali na werandzie i patrzyli na góry albo szli na pocztę do małej wioski w dolinie, czy może zbierali jeżyny, zanim słońce zaczęło przypiekać. Czasami cała rodzina wyjeżdżała na lato do Mountain Creek w Alabamie, gdzie sędzia spędzał z nimi weekendy. Zjawiał się z kieszeniami pełnymi tanich cukierków i zabierał Zeldę na spacer wzdłuż torów kolejowych, skąd przynosili całe garście pięknej kolorowej gliny, z której sędzia lepił dla córki małe zwierzątka. Jedna z sióstr wspomina: „Dopóki byliśmy dziećmi, był dla nas cudowny, ale gdy dorastaliśmy, uważał widocznie, że jesteśmy już samodzielni. Wiem jednak, że na pewno nas kochał”.

W roku 1914 Zelda rozpoczęła naukę w nowej szkole średniej imienia Sidneya Laniera. Nauczyciele uważali ją za dziewczynkę psotną, lecz zdolną. W pierwszym roku nauki osiągała wysoką średnią, rzadko opuszczała lekcje i zawsze miała dobre oceny z angielskiego i matematyki.

Koleżanki widziały, że po szkole Zelda korzysta ze znacznie większej niż one swobody i nieraz zamiast wracać prosto do domu wstępuje do lodziarni na dużą porcję lodów z bananami albo napoju wysokowego, tak zwanego odkurzacza, czyli coca-coli z dodatkiem alkoholu, dla wywołania lekkiego rauszu. Niektóre z dziewcząt zazdrościły jej, że nie musi najpierw dzwonić do rodziców i opowiadać się, dokąd idzie. Rzadko odrabiała lekcje w domu, za to błyskawicznie uzupełniała je w szkole.

Kiedyś cała klasa miała za zadanie napisać wiersz. Zelda nagryzmoła swój wierszyk następnego dnia w czasie lekcji, po czym podniosła rękę, bo chciała odczytać go pierwsza. Utwór nie przypadł może do gustu nauczycielce, ale zachwycił koleżanki.

Mym ukochanym prawdziwym jest Charlie – i to
Mnie jeszcze może doprowadzić do szaleństwa.
Ale tak się cieszę, że on jest mym beau
A ja – jego maleństwem.*

Był to typowy dla Zeldy psikus. Nie wystarczało jej odwagi, żeby zostać zakałą klasy, wkrótce jednak wyrobiła sobie opinię impertynentki. Nauczycielom wydawała się coraz bardziej drażliwa, niespokojna i niezdiscyplinowana. Odnosili wrażenie, że byłoby ją stać na dużo więcej, gdyby zechciała popracować – i gdyby dopilnowano jej w domu. Później Zelda tłumaczyła to w podobny sposób, mówiąc, że według niej nauka po prostu nie miała wartości. W domu czytała wszystko, co jej wpadło w ręce; „popularne powiastki dla chłopców, powieści, które moje siostry zostawiły

* Wszystkie wiersze przełożyła Halina Janod.

na stole, książki przypadkowo wybrane w bibliotece ojca: biografię Johna Paula Jonesa, *Żywooty Plutarcha*, *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego Gibbona* i mnóstwo bajek”. Czytała Wilde’a, Galsworthy’ego, Kiplinga „i wszystko, cokolwiek udało się znaleźć o wojnie domowej... Najbardziej lubiłam bajki”.

Stało się oczywiste, że Zelda najzwyczajniej traci czas w szkole. Jej brak zainteresowania ujawniał się nawet w tak drobnych szczegółach jak kwestia stroju. Chodziła w zwyczajnych marynarskich bluzkach i plisowanych spódnickach modnych w tamtych czasach, ale zawsze nosiła je niedbale. Spódnice, podwinięte w pasie, żeby wydawały się krótsze, były nierówne i zazwyczaj wyłaziła spod nich halka. Wszystkie przedpołudniowe stroje Zeldy cechowała zaskakująca bezbarwność, wręcz bezguście. Jej siostra Rozalinda i kilka koleżanek powtarzało wielokrotnie, że Zelda nie miała stylu. Ten brak stylu musiał raczej dotyczyć matki, bo na ogół to pani Sayre, a nie krawcowa szyła jej sukienki. Czy miała styl, czy nie, wieczorami olśniewała w kreacjach swojej matki. Eleanor Browder, jedna z koleżanek Zeldy, wspomina, że „pani Sayre nieomylnie wyczuwała, w czym jej piękna córka wzbudzi zachwyty, i potrafiła szyc suknie z tiulu i organdy, w których Zeldą wyglądała jak królowa z bajki”.

Piętnastoletnia Zelda była uderzająco ładna, cerę miała gładką i mleczną, włosy złote niczym małe dziecko. Inne dziewczęta zaczęły po kryjomu rozjaśniać włosy, czego Zelda robić nie musiała. Pożyczała róż i szminkę od starszych sióstr, żeby wzmocnić rumieńce, a pudru używała jak najbielszego. Eleanor wspomina, że wcześniej niż inne panienki czerniła rzęsy. Już niebawem miała się stać najbardziej efektowną pięknoscią w dziejach Montgomery; wizytowe sukienki pani Sayre były pierwszymi oznakami hołdu składanego urodzie córki.

Na wysokim białym zamku, królewska córka, dziewczę złote...

F. Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*

2

Wiosną 1916 roku zorganizowano w dawnej miejskiej sali koncertowej w Montgomery popis baletowy. Wieczór był niezwykle upalny i, rzecz zdumiewająca, na sali panował tłok. Później miały się tam odbyć tańce i może dlatego przyszło aż tylu młodych ludzi. Niespełna szesnastoletnia Zelda Sayre tańczyła solo. Miała sztywną, organdynową różową spódniczkę uszytą przez matkę i świeże kwiaty u paska, a kiedy zaczęła tańczyć, na widowni zaległa cisza. Włosy, długie jak u małej dziewczynki, wiły się i układały w loczki na skroniach. Poruszała się z wdziękiem i sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie. Po występie młodzi ludzie otoczyli ją kołem. Wszyscy chcieli wiedzieć, kto to taki. Zelda potraktowała tłum wielbicieli jako coś jej należnego i tego wieczoru przeobraziła się w piękność. Przemiana była równie wielka jak w szczęśliwym zakończeniu bajki.

Pani Sayre z dumą obserwowała córkę. Przed rozpoczęciem programu nie miała pewności, jak Zelda, w domu uchodząca jeszcze za trzpiotkę, zareaguje na prawdziwą zabawę taneczną. Zdecydowana uniknąć niespodzianek, namówiła zaprzyjaźnionego z córką Leona Rutha, żeby poprosił ją do pierwszego tańca. A potem z miną spiskowca wzięła go na bok i pokazała mu dużą, ciężką bransoletkę, którą kupiła dla Zeldy. Chciała, żeby oarował tę bransoletkę panience, kiedy poprosi ją do tańca. Zdziwiony Ruth powiedział, że stać go na kupowanie prezentów, ale pani Sayre się upierała, a on nie chciał zachować się niegrzecznie, dał więc Zeldzie tę bransoletkę. „Okręciliśmy się zaledwie parę razy – wspomina – po czym nadeszli inni chłopcy i do końca wieczoru nie miałem już okazji ująć jej ręki. Do domu wracaliśmy jednak

razem Monroe Street do Pleasant Avenue. Było ciemno, czułem się szczęśliwy, że odprowadzam ładną dziewczynę w różowej baletowej spódniczce, dziewczynę, za którą odtąd uganiać się będą wszyscy chłopcy”.

Tego lata w rubryce towarzyskiej „The Montgomery Advertiser” pod fotografią Zeldy w berecie z pomponem ukazała się notatka tej treści:

„Posiadacze tego klasycznego prolu warto będzie się przyrzyć za jakiś rok, kiedy troszkę wyrośnie ze słodkiego wieku lat szesnastu. Bywa już z całą paczką w klubie podmiejskim w każdy sobotni wieczór, a co drugi wieczór chodzi na zabawy składkowe.

Ma najprostszy nos, najbardziej stanowczy podbródek i najbłękitniejsze oczy w całym Montgomery. Mogłaby tańczyć jak Pawłowa, gdyby jej zwinne stóпки nie musiały dotrzymywać tempa wyznaczonego przez grono młodych, lecz ognistych wielbicieli”.

Zabawy składkowe odbywały się na świeżym powietrzu, w Oak Park, gdzie znajdował się duży, stary pawilon taneczny z podłogą z twardego drewna. Grupa młodych ludzi, zazwyczaj studentów college’u, wynajmowała orkiestrę, po czym wywieszała listę dziewcząt na drzwiach lodziarni Harry’ego, gdzie przesiadywali i spotykali się ze swoimi sympatiami chłopcy przezywani Żelkami. Każdy młodzieniec wpisywał następnie swoje nazwisko obok nazwiska dziewczyny, którą chciał zabrać na tańce. Odbywało się to na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, a najładniejsze, najbardziej popularne panny zamawiano w pierwszej kolejności. Z ich punktu widzenia miało to tę złą stronę, że nie mogły właściwie wybierać partnerów i jedyne, co im pozostawało, to nie iść wcale.

Na te zabawy przychodziły przyzwoitki, ale Zelda nigdy się nimi nie przejmowała. Przytulała się w tańcu, choć nie wypadało, i bez dłuższych namów wymykała się w przerwie do samochodu zaparkowanego niemal w zasięgu wzroku. „Boodlowała”

(co w gwarze lokalnej oznaczało obściskiwanie się w samochodach w miejscu zwanym Boodler's Bend), paliła papierosy, piła dzin, a jeśli go nie było – samogon pędzony z kukurydzy i rozcieńczony coca-colą.

Zelda nie miała daru nawiązywania zażyłych przyjacielskich stosunków z rówieśnikami; nie należała do żadnego ich klubu i nie dostawała zaproszeń na całonocne zabawy. Nie lubiła zwierzeń i plotek; nie prosiła o rady ani ich nie udzielała. Zdecydowanie bardziej zależało jej na atencjach chłopców, którzy ich Zeldzie nie szczędzili. Zrzuciła lekcje baletu, bo kolidowały z codziennymi randkami. Jeden z adoratorów Zeldy wspomina ją jako „nerwową osóbkę o niespożytej energii. Była gotowa na wszystko. «Zróbmy coś dla hecy» – mówiła. Pamiętam, że podczas jednej letniej potańcówki, gdy zaczął dokuczać upał, Zelda wysłiznęła się z halki i poprosiła, żebym ją przechował w kieszeni, dopóki nie wrócimy do domu. Usłuchałem. Nie była taka jak inne dziewczyny”. Zabierał ją na zabawę, po drodze zaś prosiła, żeby zatrzymał wóz, bo ma ochotę pobrodzić, on robił to samo i oboje, elegancko wystrojeni, ze śmiechem taplali się w wodzie. Czasem w ogóle nie jechali już później na potańcówkę, ale Zeldzie było to najzupełniej obojętne. „Brała z życia wszystko, co najlepsze”.

Wyglądała na delikatną i niezepstą, a jej chęć użycia nie wykraczała poza granice skromności. Niejedną z dziewcząt drażniła zapewne jej żywość i brak hamulców. Zeldę równie mocno irytowało ich konwencjonalne zachowanie. Któregoś wieczoru wybrali się w dwie pary na sztukę wystawianą na świeżym powietrzu przez uczennice żeńskiej szkoły panny Margaret Booth. Zelda zaproponowała swojemu kawalerowi i tamtym dwojgu, żeby się urwali. Przedstawienie było nudne, ale druga panienka, uczennica tejże szkoły, uważała, że za coś takiego może z niej wylecieć. Wahala się. Zelda przypatrywała jej się przez chwilę, po czym wycedziła przez zęby: „Zdobądź się na odrobinę odwagi!”, i wyszła. Tamta z nieszczęśliwą miną ruszyła jej śladem.

Zelda mawiała o sobie, że lubi dwie rzeczy: chłopców i pływanie. Na jednym ze zdjęć stoją z jakimś chłopcem na brzegu basenu, beztrudnie objęci w pół. Zelda, wyprężona niczym grenadier, drugą rękę wsparła na biodrze, śmieje się do obiektywu. Podpis pod zdjęciem brzmi: „Co u diabła – Zelda Sayre!”. Mężczyzna, który się z nią wtedy sfotografował, mówi: „Zelda nie bała się niczego, nie bała się chłopców ani obmowy; była rzeczywiście nieustraszona. Na basenie znajdowała się trampolina, ale prawie nikt nie skakał nigdy z samej góry. Robiła to tylko Zelda, a ja nie umiałem jej dorównać. Właściwie nawet nie chciałem. Pływała i nurkowała jak chłopak, lepiej niż większość z nas. Miała tyle zmartwień co szczenię czy kociak... Ale nie cieszyła się dobrą opinią... Były dwa rodzaje dziewcząt, te, co pojadą z kimś wieczorem jego samochodem, i te dobrze ułożone, które czegoś takiego nie zrobią. Ale Zelda miała to w nosie”.

Tego lata nosiła jednoczęściowy kostium kąpielowy z cielistego jedwabnego trykotu. Krążyły plotki, że pływa nago, a ona się śmiała, nie dementowała ich jednak. Świetnie zdawała sobie sprawę z wysuwanych pod jej adresem zarzutów. Pisała później o Alabamie Beggs, bohaterce swojej bardzo autobiograficznej powieści *Zarezerwuj mi walca* [*Save Me the Waltz*]:

„«Jest najbardziej szalona z rodziny Beggsów, ale ma rasę» – mówiono.

Alabama wiedziała o wszystkim, co na jej temat rozpowiadano – tylu chłopców chciało ją «osłaniać», że musiała wiedzieć... «Rasa! – myślała. – W tym sensie, że nigdy nie sprawiam zawodu i wykorzystuję dramatyczne możliwości tkwiące w danej scenie – robię z siebie cholernie dobre widowisko»”.

Tego lata Montgomery obiegały różne pogłoski o zachowaniu Zeldy. Podobno kiedy sędzia Sayre zabraniał jej wychodzić wieczorem, wykradała się ze swojego pokoju przez okno – czasem z pomocą matki. Na pozór kpiła z ojcowskich norm postępowania. Za plecami nazywała sędziego „starym Dickiem”, jej samowola zaś stanowiła rzucane mu wprost wyzwanie.

Sędzia Sayre uchodził za wzór człowieka szanowanego i konserwatywnego. Bujna czupryna całkiem mu posiwiała. Nosił sztuczkowe spodnie jak dyplomata, a do tego czarną marynarkę, szyte w Atlantycie przez krawca, który raz na rok przyjeżdżał robić przymiarki. Sędzia chodził też z laską. Przez kolegów zwany „mózgiem sądownictwa”, swoje konserwatywne opinie jasno wyrażał na piśmie. Jego życie wydawało się idealnie unormowane. W gabinecie miał zawsze rozłożoną szachownicę i codziennie grywał w szachy z sędzią May eldem, podejmując grę w tym miejscu, w którym ją poprzedniego dnia przerwali. Po powrocie do domu zjadał kanapkę i udawał się na spoczynek punktualnie o ósmej. Bez reszty pochłonięty pracą, bardzo niewiele czasu poświęcał Minnie i dzieciom. Nie był podobno nieczuły, tylko stronił od ludzi. Minnie natomiast przepadała za towarzystwem; dziwną zbieraninę bywalców ich domu sędzia nazywał „menażerią Minnie”. Zaliczał się do niej stary, brzydko pachnący poeta oraz mormon, który próbował nawrócić Minnie na swoją wiarę. (Ktoś z rodziny zauważył, że pani Sayre „bardzo lubiła słuchać, ale nigdy, przenigdy nie zmieniła zdania”. Zastanawiała się jednak, czy nie zostać teozofką). Teraz, odchowawszy dzieci, miała więcej czasu; zajmowała się ogrodem, pisywała wiersze i zamieszczała je w „Advertiserze”.

Dobre pochodzenie w pewnym sensie uodporniało Zeldę na krytykę. Ludzie niewątpliwie komentowali po cichu jej wyczyny i eskapady, ale jako córce sędziego Sayre należały jej się w towarzystwie pewne względy. Doskonale wiedziała, że stanowisko i reputacja ojca będą dla niej tarczą. To poczucie nietykalności miało też i inny, potencjalnie szkodliwy aspekt, z czego siedemnastoletnia Zelda nie do końca zdawała sobie sprawę, a co aż nazbyt wyraźnie zrozumiała w późniejszych latach. Bo stanowisko ojca, osłaniając ją, „uwolniło” jednocześnie „jego dzieci od obowiązku wczesnego podejmowania na gruncie towarzyskim wysiłków niezbędnych w życiu, aby wznieść sobie twierdze”. W tym względzie byli „okaleczeni” (jak nazywała to Zelda) przez wyjątkową

pozycję rodziny. Dotknęło to nie tylko Zeldę. Tony Sayre uchodził za rozwiązłego młodzieńca i po różnych perypetiach zarzucił naukę w Auburn, nie zrobiwszy dyplomu. Jego kolega z tamtych czasów wspomina, że więcej czasu spędzał na grze w karty niż nad książkami i że lubił się znęcać nad pierwszorocznikami, czego inni nie akceptowali. Rodzicom powiedział, że niczego na świecie nie pragnie tak bardzo, jak malować, ale nigdy nie wziął pędzla do ręki.

Co do pozostałych dzieci państwa Sayre, Rozalinda była inteligentna, energiczna i może najbardziej przypominała Zeldę odwagą. Jako jedna z pierwszych w Montgomery młodych pańien z dobrej rodziny zaczęła pracować*. Z zacięciem pisywała do rubryki towarzyskiej w gazecie stryja. Klotylda i Marjorie były podobne z usposobienia, spokojne i poważne. Ciemnowłosa Klotylda miała nieskazitelną cerę o przezroczystej bieli kwiatu magnolii. Chorowita Marjorie wciąż kwękała. Była nauczycielką (co w okresie poprzedzającym dziennikarską karierę Rozalindy stanowiło dla pańien jedyne dopuszczalne zajęcie), wyszła za mąż i urodziła jedną córkę, ochrzczonej jej imieniem. Państwo Sayre niechętnie mówili o jej chorobach, kiedy zaś mała Marjorie zamieszkała u nich, dziewczynce powiedziano, że matka pojechała „z wizytą”. Szeptano o załamaniu nerwowym. Wiktoriańska niechęć do nazwania choroby po imieniu, odczuwana wówczas nie tylko w Montgomery, była istotnym elementem rodzinnej fasady. Kiedy matka pani Sayre odebrała sobie życie, dzieciom nie powiedziano tego wprost, pozwalano za to podsłuchiwać rozmowy bardziej gadatliwych krewnych. Wszyscy wiedzieli, kryli się z tym jednak i nigdy otwarcie nie poruszali tego tematu.

Zeldę drażniła powściągliwość rodziny, miała wrażenie, że dusi się w ciasnocie domu i otaczającego ją miasta. Raptem powstała szansa wyrwania się z tego świata, bo kiedy w lecie 1917 roku Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny, Montgomery

* Rozalinda była redaktorem wychodzącej w Montgomery gazety „Journal”.

uległo gruntownemu przeobrażeniu. Tysiące żołnierzy i lotników napływało do położonych tuż za rogatekami obozów ćwiczeń w Sheridan i Taylor. Dla ich wygody otwarto nowe sklepy, restauracje i hotele, klub podmiejski zamienił się nieomal w dodatkowy klub o cerski, na ulicach pokazały się nowe twarze z Ohio, Nowego Jorku i Pensylwanii. Niektórzy mieszkańcy Montgomery manifestacyjnie sprzeciwiali się zakwaterowaniu żołnierzy jankeskich tuż za miastem, a jeden zawzięty stary konfederat próbował nawet założyć klub, żeby rozniecić w miejscowej młodzieży wygasłą nienawiść do Shermana i jego groźnej armii. To nie odniosło żadnego skutku. Młodzi nie chcieli wspominać przeszłości, a poza tym, jak mówiła pewna pani, Jankesi okazali się wybornymi tancerzami. Wyrwane z drzemki Montgomery przybrało odświętną szatę i ożywiło się bardziej niż w czasach, kiedy było główną kwaterą Konfederacji. Pani Sayre opowiadała: „W powietrzu wyczuwało się wielkie podniecenie, kręciło się tutaj mnóstwo ludzi, których nikt nigdy przedtem nie widział, a ja miałam trzy bardzo ładne córki”. Mężczyźni pochodzili ze wszystkich możliwych grup i warstw społecznych; „mężczyźni, którzy nigdy nie byli tak dobrze ubrani jak w wojsku”, pisała później Zeldy, „i mężczyźni z Princeton i Yale, pachnący juchtem, dziarscy, zadowoleni z życia...”. Szeroki świat z marzeń Zeldy stanął u jej progu, nareszcie dostępny.

We wrześniu 1917 roku Zeldy rozpoczęła ostatni rok nauki w wirze potańcówek i przyjęć. Frontowa weranda domu państwa Sayre przypominała koszary, a Zeldy zaczęła zbierać do pudełka po rękawiczkach barwne insygnia o arowywanej przez ocerów dowód uczucia. Wkrótce pudełko zapełniły złote i srebrne dystynkcje, zamki i chorągiewki, wijące się węże. Sędzia nie pochwalał zachowania i nocnych eskapad Zeldy, pani Sayre natomiast stawiała w obronie córki i cieszyła się jej ładnymi błyskotkami.

Dziewczęcą wyobraźnię Zeldy rozpalala myśl, że hordy młodych żołnierzy, którzy się do niej zalecali, szkolone do walki

z Hunami w Europie, otrą się w okopach o śmierć. W przypływie patriotyzmu napisała o nich do szkolnej gazetki wiersz, nagrodzony, a następnie wydrukowany w gazecie. (Pani Sayre musiała jej w tym widocznie pomóc, bo wlepiając go do albumu z wycinakami, Zelda napisała w poprzek tekstu: „Nie tylko jest «Potrzeba Matką Wynalazku», ale «Matka Wynalazku» jest potrzebą!!”). Zatyłowała go: *Z Pershingiem do ataku.*

Noc była ciemna, spadło trochę deszczu,
 Chłopcy ruszyli, wciąż spokojni jeszcze,
 Do okopów, błota pełnych oraz szlamu,
 O tysiąc mil z dala od rodzinnego domu,
 Zajęli stanowiska, w oczy patrząc śmierci,
 I na swą kolej czekali, oddech tłumiąc w piersi,
 A kiedy rozkaz przyszedł, by ognia nie szczędzić,
 Nie musieli już dłużej odwagi swej więzić.

*

W bój idą przez najwyższe wzniesienie,
 Za człowieczeństwo bić się i bliskich cierpienie,
 Lepiej swą drogę widzą z wysokości
 Ku czystym celom oraz ku wolności.
 Niech na tym wzgórzu, o Wszechmocny Panie,
 Zwycięstwo naszym chłopcom się dostanie.

Nie sami żołnierze uganiali się za Zeldą; w okresie Bożego Narodzenia bywała na balach, potańcówkach i przyjęciach urządzanych przez szkoły średnie w pobliskich miastach Anniston, Marion, Auburn i Birmingham. W pierwszej parze prowadziła taneczny korowód podczas otwarcia balu Alfa Tau Omega w Hotelu Giełdowym w Montgomery i jak donosiły gazety, wyglądała prześlicznie w sukni z różowego aksamitu, z bukietem różowych róż w ręku. W przerwie wyszła z grupką przyjaciół z hotelu, żeby

napić się czegoś w pobliskiej kawiarni. Po drodze mijali zakład fotogra czny, gdzie w gablotce stało w ramach portretowe zdjęcie jednego z adoratorów Zeldy. Przystanęli przed nim i ktoś z paczki zaczął dokuczać Zeldzie, że chłopak woli być w witrynie niż w jej towarzystwie. Bez chwili namysłu kopnęła szybę i wyciągnęła zdjęcie. Jej przestraszeni przyjaciele chcieli się jak najszybciej ulotnić, lecz Zelda wyśmiała ich i wesoło wkroczyła do kawiarni, ostentacyjnie niosąc fotogra ę pod pachą.

Urok Zeldy polegał między innymi na tym, że zawsze była sobą i kiedy zechciała, robiła to, na co jej przyszła ochota. Musiała jednak zdawać sobie sprawę z tradycyjnego na Południu stosunku do kobiet, nawet jeśli jej nie odpowiadał. Na przykład w styczniu 1918 roku otrzymała zaproszenie na zabawę taneczną w Klubie Ruffy Lodowej uniwersytetu stanowego. Kiedy skończyło się podrygiwanie w takt synkopowej muzyki, chłopcy popisywali się płaskimi butelkami whisky i namawiali swoje krzykliwie umalowane partnerki do picia. Główny obrzęd klubu odprawiono w przerwie między tańcami. Na sali balowej przygasty światła, mężczyźni wkroczyli, niosąc z powagą płonące pochodnie w rękach; korowód zamykał wózek z długą bryłą lodu, którą otaczało czterech młodych ludzi. Jeden z nich wzniosł wodą toast: „Za kobietę, śliczną kobietę Południa, czystą i niewinną niczym ta perląca się woda, zimną niczym ten skrzący się lód, za nią wznosimy ten puchar i przyrzekamy strzec jej czystości i cnoty sercem naszym i życiem”.

Ten przesadny, nieco złowieszczy hołd złożony kobiecie Południa odzwierciedla towarzyskie kanony, w których wzrastała Zelda i przeciw którym się buntowała. Jej rodzinie, bezwzględnie im podporządkowanej, obojętne było, że wiele tego rodzaju zasad ma znaczenie nie tyle praktyczne, co literackie; na dalekim Południu akceptowano je bowiem niemal całkowicie. Kobiety miały być uległe, jeśli już nie bierne. Ślicznotka z Południa korzystała z pewnych przywilejów niedostępnych dla jej bardziej pospolitych sióstr, ale zasługiwała na nie urodą, żywością

i ogładą, umiejętnością owijania sobie niepostrzeżenie mężczyzn dokoła palca. Sztuka udawania z konieczności stawała się cenną zaletą towarzyską dziewczyny. (W tym względzie sytuacja białej kobiety na Południu była zaskakująco zbliżona do sytuacji Murzynki). Pod wpływem napięć niezmiennie towarzyszących tej typowej dla Południa szaradzie Zelda napisała kiedyś: „bardzo trudno jest być dwiema zwykłymi osobami naraz, jedną, która chce się rządzić własnymi prawami, i drugą, która chce zachować wszystko to, co dawne i miłe, i być kochana, bezpieczna, chroniona”. Było to nie tylko trudne; wymagało sprzecznych decyzji jej osoby. Jeszcze nie dostrzegała niszczycielskiej siły przewrotnego ideału.

W szkole nie szło jej dobrze i choć zawsze zaczynała rok w czołwce klasy, o mało nie oblała historii i poprawki z francuskiego. Często opuszczała lekcje, a w okresie poprzedzającym promocję dostała z zachowania ocenę niedostateczną. Stwierdziła później: „Nie uczyłam się wtedy dużo. Pozostawiałam naukę w szkole, a ponieważ w mieście było mnóstwo żołnierzy, spędzałam czas na potańcówkach – zawsze w kimś zakochana, tańczyłam całe noce i uczyłam się tylko tyle, żeby skończyć szkołę”. W każdy piątkowy wieczór bywała na wodewilu i uważnie przyglądała się, jak tańczą, żeby potem naśladować krok w czasie sobotniej zabawy w klubie podmiejskim.

Pierwszego kwietnia najstarsza klasa poszła na wagary, jednym z prowodyrów była Zelda. Zrobiono składkę, po czym Zelda i Eleanor Browder namówiły biletera z kina Empire, żeby za dziewięćdziesiąt centów wpuścił na całą klasę. Następnie pozowali przed kinem do zdjęcia: chłopcy w czapkach z miękkimi daszkami i w wysokich sznurowanych czarnych trzewikach usiedli na krawężniku, obejmując się za ramiona, podczas gdy dziewczęta w drugim rzędzie stroiły śmieszne miny. Potem urządzili piknik. Drugiego kwietnia wszystkich wyrzucono ze szkoły. Przewodniczący klasy, przystojny Irby Jones, wyprosił u dyrektora zmianę decyzji; ostatecznie kary okazały się łagodne: mieli

nie przystawać ani nie rozmawiać w salach i przyjść do szkoły w sobotę, żeby odrobić stracony dzień.

Zeldę obwołano najładniejszą i najbardziej atrakcyjną dziewczyną w klasie, a do montowanego z fragmentów fotogra i zdjęcia, mającego przedstawiać ideał maturzystki, wybrano portret Zeldy z uwagi na usta. Na zdjęciu maturalnym jest w marynarskiej bluzie, chociaż inne dziewczęta poubierały się w odświętne sukienki. Pod fotogra ą można przeczytać wierszyk:

Dlaczego życie ma być tylko pracą – pożyczają mogą wszyscy.
Nie warto martwić się o jutro, o dniu dzisiejszym myślmy.

Rozdanie promocji odbyło się wieczorem 31 maja w Teatrze Wielkim. Poprzedziła je długa dyskusja na temat stroju pańnek, bo jedni opowiadali się za drogimi sukniami bez kwiatów, inni za sukienkami z materiału za najwyżej pięć dolarów i za czerwonymi różami, których było zatrzęsienie i które niewiele kosztowały. Jedną z koleżanek Zeldy, Lucy Goldthwaite, powiedziała: „Na Południu nikt nie miał wtedy za dużo pieniędzy, więc w końcu przegłosowałyśmy pięciodolarowe suknie z kwiatami”. Kilka dziewcząt było rozczarowanych, ponieważ jednak w tamtej epoce gotowa konfekcja należała do rzadkości, każda posadziła swoją murzyńską krawcową do roboty, żeby za te pięć dolarów jak najładniej się wystroić. Wieczorem, kiedy zebrali się za kulisami przed wspólnym wyjściem w pochodzie, Zelda zjawiła się we wspaniałej kreacji z białego jedwabiu, ze zwiewną szyfonową tuniką, i w dużym kapeluszu ze spływającymi na plecy długimi wstążkami. „Trudno sobie wyobrazić, jak ślicznie wyglądała – wspomina Lucy – ale oczywiście wszystkie byłyśmy zaskoczone, niektóre z nas dotknięte. Bo przecież tak się nie robi”. Nie wiadomo, dlaczego Zeldę zignorowała pięciodolarowy limit, może nie powiedziała o nim matce, bo niewątpliwie matka szyła jej strój, wszyscy natomiast zgadzali się co do tego, że to w jej stylu. Jedną z dziewcząt zauważyła uszczypliwie, że być może

państwa Sayre nie stać na kupno dwóch sukienek: na rozdanie świadectw i na sobotnie przyjęcia i tańce w klubie podmiejskim, wobec czego Zelda wybrała sukienkę stosowną na różne okazje. W ostatniej chwili postanowiła usiąść na widowni, nie zaś z resztą klasy na scenie, po czym powiedziała Irby Jonesowi, że nie przepada za uroczystościami, a przyszła tylko po to, żeby wysłuchać jego przemówienia. Jones ręczył, że się z nich wszystkich śmiała.

3

W lipcu 1918 roku, z górą miesiąc po ukończeniu szkoły, Zelda poznała w klubie podmiejskim Scotta Fitzgeralda. Był upalny sobotni wieczór i nie miała ochoty iść do klubu, ale proszono ją, żeby coś zatańczyła, więc wreszcie uległa i wykonała *Taniec godzin*. Scott, porucznik 67. pułku piechoty, przybyły do obozu Sheridan w połowie czerwca, przyglądał jej się ze skraju parkietu i niemal natychmiast zapytał, czy ktoś z obecnych jest jej znajomym. Odpowiedziano mu, że to absolwentka miejscowej szkoły średniej, o wiele dla niego za młoda. Nigdy jednak nie widział istoty piękniejszej niż ta żywa dziewczyna o długich złotych włosach, więc poprosił, żeby go jej przedstawiono. Zelda wspominała po latach, że kiedy ze sobą tańczyli, „pod jego łopatkami zdawała się tkwić jakaś niebiańska siła, która odrywała nogi od ziemi i utrzymywała w jakimś ekstatycznym zawieszeniu, jakby potajemnie cieszył się umiejętnością latania, a chodząc, czynił ustępstwo na rzecz przyjętych obyczajów”. Od momentu zawarcia znajomości czuli do siebie nieprzeparty pociąg, bo jeśli kiedykolwiek para miała identyczne zachcianki, skonstatował później Edmund Wilson, to właśnie Zelda Sayre i Scott Fitzgerald. Być może uroda i młodość kazały im się sprzymierzyć przeciw trzeźwieszemu światu zewnętrznemu. Byli nawet do siebie podobni.

ZELDA

Piękność Alabamy, dziecko zamożnej rodziny amerykańskiego Południa, duszące się na tradycyjnej, pełnej konwenansów prowincji. Była „zgorszeniem miasta”, zbuntowanym, ekscentrycznym podlotkiem szokującym najpierw rodzinne Montgomery, a potem – u boku sławnego męża – wielki świat. Jej urok polegał na tym, że zawsze była sobą i robiła to, na co przyszła jej ochota.

Uroda i naturalność przysparzała jej wielbicieli, a szczerość w życiu i sztuce – najczęściej wrogów.

Ta książka to klucz do twórczości F. Scotta Fitzgeralda. Zelda dostarczała mu inspiracji, była archetypem postaci jego powieści, muzą, siłą napędową życia i jego największą miłością. Razem dotarli na szczyt. Dzięki talentowi Scotta i jej wybuchowej osobowości stanowili epicentrum szalonej amerykańskiej bohemy barwnej ery jazzu. Zwiedzali świat, używali życia, podsycając alkoholem wewnętrzny ogień, który ich w końcu strawił.

Dzięki zachowanym listom z częstych okresów rozłąki Zeldy i Scotta, opowieść jest nie tylko bardziej fascynująca i romantyczna, ale wręcz namacalnie prawdziwa.

MARGINESY.COM.PL



9 788363 656485

39,90 zł